

VENI, VIDI, VICI

Kazimierz Banek, Świat Brydża 3 (140) marzec 2002, str. 20-21

Dziwne są koleje losów tego świata. Kiedyś, przed laty, gdy Juliusz Cezar w 5 dni podbił dla Rzymu Azję Mniejszą o incydencie tym był łaskaw poinformować senat rzymski w sposób prosty i nadzwyczaj lakoniczny: *veni, vidi, vici* (co po polsku można przetłumaczyć jako: przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem). Ale nam, niestety, przyszło żyć w czasach, kiedy słowa leją się strumieniami, a o byle głupstwie tworzy się bałamutne i rozwlekłe epepeje. Dlatego, pozostając w powszechnie przyjętej konwencji – aczkolwiek wbrew sobie – o rozegranych pod koniec pamiętnego 2001 r. mistrzostwach Krakowa (oczywiście w brydżu) muszę opowiedzieć co najmniej w trzech zdaniach. *Sorry*. A było to tak:

Zupełnie otóż przypadkowo (czytaj: namówiony przez Grześka, który w pewnych kręgach funkcjonuje jako Maryśka, choć naprawdę na imię ma Bogusław) pewnej grudniowej soboty zjechaliśmy do królewskiego grodu Krakowa na tzw. gościnne występy. Z tego co pamiętam, to początkowo chodziło jedynie o to (oczywiście mnie, bo co na ten temat myślał Grzesiek, nie miałem pojęcia), abym za możliwość wypicia (swoich własnych) dwóch piw w towarzystwie ponad stu ludzi mógł uiścić opłatę w wysokości 20 złotych (na głowę). Przy czym, dodatkowym utrudnieniem była jeszcze perfidna szykana: otóż – w trakcie konsumowania wspomnianego piwa (marki *Żywiec*) – trzeba było przez ponad 4 godziny trzymać w rękach karty (czyli 30 rozdań), dokładać je w razie konieczności i zgodnie z ustalonymi przepisami oraz coś tam licytować. Wszystko to razem ludzie pobierający tam od nas pieniądze nazwali bardzo szumnie i oficjalnie Mistrzostwami Krakowa. Technikę zaś zastosowali bardzo przemyślną, w żargonie fachowców określaną jako *barometr*.

Początek, a prawdę mówiąc $\frac{3}{4}$ czasu przeznaczonego na picie piwa (z tymi kartami w rękach), był zdecydowanie nudny. Kto studiował kiedyś w Cambridge, ten wie, że w *barometrze* im siedzisz na wyższym (a numerowo niższym) stole, tym wyżej jesteś aktualnie w tabeli. Czyli w czubie peletonu i blisko kasy. Otóż przez $\frac{3}{4}$ tego czasu – który niektórzy nazywają turniejem – ów najwyższy (pierwszy), przez wszystkich tak bardzo pożądany, a do tego największy i odświętnie w tym dniu obciążony zielonym sukniem (!) stół okupowała niezmiennie para znanych krakowskich internacjonalistów, arcymistrz Aleksander i arcymistrz Wit. Porażali oni już na odległość, bo samym współczynnikiem (30), sławą mołojeczko–brydżową oraz demonstrowaną tego dnia równą i wysoką formą (ponad 70% po kolejnych rundach). Aliści kończąc drugie (trzecie?) piwo zorientowałem się niespodziewanie, że oto właśnie siedzimy z Grześkiem na owym pierwszym stole i musimy się zmierzyć z arcymistrzami. Szok był tak potężny, że moment ten utkwiał mi w głowie – i jest to jedyne, co zapamiętałem z owych mistrzostw.

Na szczęście w pierwszym rozdaniu dostałem zupełnie normalną kartę:

♠ D6
♥ W963
♦ KD7
♣ KD98

Na obrazki patrzyłem więc bez specjalnego obrzydzenia, a poza tym miałem jakieś dziwne przecucie (nawet się chyba na ten temat trochę rozmarzyłem), że do końca turnieju zostało jeszcze tylko 4 a co najwyżej 5 rund. Czyli do domu blisko. I wszystko by było w porządku, gdyby nie to, że mojemu wpadło do głowy otworzyć licytację. Ni stąd ni zowąd powiedział 1♣ i tym samym postawił mnie w nader kłopotliwej sytuacji. Miałem przecucie, że na tym się nie skończy, a więc nie da się jakoś tego stolika przeczekać i dotrzeć do końca turnieju w stanie słodkiego nieróbstwa. Wypadło na to, że i ja będę musiał coś licytować, a przy okazji podejmować decyzje, a już (nie daj Boże) na końcu rozgrywać. Tego bowiem zdecydowanie nie lubię. Doświadczenie uczy, że w takich sytuacjach zazwyczaj pojawiają się jakieś komplikacje. A to łąduje się w złym kontrakcie, a to trzeba coś trafiać, a to coś się nie dzieli. A potem partner ma pretensje. Najlepiej, jak kartę mają przeciwnicy: wtedy oni muszą licytować, a potem rozgrywać. Oni muszą się męczyć i martwić, obliczać szanse i przeżywać stany niepewności. A także – wyszukiwać powody, dla których (już po wszystkim) należy ochrzanić i zdołować partnera.

Ale cóż, rzecz się dokonała: arcymistrz Wit z wdziękiem położył przed sobą zielony kartonik, zmuszając mnie do wyjęcia również swojego kartonika (bo tam każdy miał swoje kartoniki!). Nie zamierzałem przewencyjnie zaciemniać sytuacji (w stylu: 1♠ czy coś podobnego) lecz prostolinijnie i uczciwie położyłem 1♥. Arcymistrz Aleksander pokazał zielone a mój 2♥. To było właśnie to, czego się wcześniej obawiałem. Normalnie (i najchętniej) to bym teraz odwinał *firmówkę*, czyli 3 bez atu. Ale tutaj? Na arcymistrzów? Przecież z lewej będzie celnie wistował arcymistrz Aleksander, a z prawej dzielnie mu dopomoże groźnie łypiący na mnie okiem arcymistrz Wit. Oczywiście bolały mnie piki, a zwłaszcza ich słabość. Do tego z moim partnerem dawno nie grałem (ostatnio z 5 lat temu) i nie mieliśmy aparatu licytacyjnego (graliśmy starą, najbardziej prymitywną wersją Wspólnego Języka) pozwalającego sprawdzić jakimi zatrzymaniami pików razem dysponujemy i do tego jeszcze na końcu ustawić rozgrywkę z właściwej, czyli mojej, ręki (żeby wist był do drugiej damy pik). Całą tę pracę myślową wykonałem w ciągu kilkunastu sekund. Popatrzyłem tęsknie w okno, pociągnąłem łyk piwa i po raz drugi zachowałem się uczciwie: wałnąłem 4♥. Odzywka ta jakoś nikogo nie powaliła na kolana – owszem, wszyscy spasowali i wróg z lewej zaatakował ♣W. Mój wyłożył karty i miałem już pełny obraz sytuacji:

Turniej par; obie przed, rozd. E.

N
♠ A75
♥ KD86
♦ A105
♣ 743

S
♠ D6
♥ W963
♦ KD7
♣ KD98

Dołożyłem małego trefla ze stołu, przeciwnik z prawej pobrał asem i chyżo pomknął w ten sam kolor. Co jest – pomyślałem – dlaczego nie przepuścił asem choć raz (przecież „mistrz raz puszcza”!) ani nie podegrał mi damy pik? Sprawnie położyłem jednak króla, a z lewej spadła 10. W jednej chwili sprawa stała się poważna. Gołym okiem widać, że sporo par wylądowało w 3 bez atu i jeśli król pik oraz oba asy znajdują się tam gdzie trzeba (to znaczy kierowy po lewej a król pik po prawej), dziesięć lew bierze się wierzchem. A tutaj przebitka wisi w powietrzu (chyba że as kier jest po lewej? ale wtedy arcymistrz Wit z pewnością trefla by przepuścił dla zachowania komunikacji przebitkowej). Z braku lepszego pomysłu, zagrałem *po chłopsku* czyli małego kiera i położyłem na stole króla, który się utrzymał, ponieważ wróg z prawej dodał... małe karo. I w ten sposób zupa się wylała. Wróg z lewej rzeczywiście posiada asa kier, tak jak chciałem, ale za to piątego i z 10. Trzeba więc oddać dwa asy, trzynastego kiera i pika. Z 26 niebrzydkimi *miltonami* polec na końcówkę! A tak się pięknie zapowiadało.

Najgorsze, że w tej sytuacji nie było możliwe przeprowadzenie normalnej, spokojnej rozgrywki – to znaczy ściągnąć atuty i figury w bocznych kolorach, aby na końcu fakt ten zapisać językiem symbolicznym w protokole. Teraz trzeba było się jakoś sprężyć. Chociażby z tego względu, że walka szła na pierwszym stole i do tego z arcymistrzami. Elementarna uczciwość nakazywała, aby nie poddać się zbyt łatwo. O takiej to sytuacji Rzymianie mówili niegdyś, że rzecz (czyli bitwa) oparła się o *triari*¹. Nie było innego wyjścia, tylko przyjąć plan prosty jak budowa cepa, a więc założyć, że wróg z lewej ma także króla pik: a zatem atutować do końca, potem grać kara i trefle aż do skutku, czyli wymuszając aby przebił trzynastym atutem i wyszedł spod króla pik. Zupełnie prymitywna wpustka.

Żeby ukryć całą tę wielce uciążliwą pracę myślową, demonstracyjnie wykonałem *maskujące ziewnięcie*, powróciłem ♦K do ręki i znów zagrałem małego kiera, nabijając jakieś maleństwo 6 i „borując” tym samym 10 wroga. Teraz dama kier, którą arcymistrz z lewej pokrył asem i – po krótkim namyśle – połączył mi ostatnie atuty (jemu została 10). Nie był to już zatem wróg lecz przyjaciel, bo zgodnie ze mną współpracował. Kiera pobrałem waletem w ręce i zagrałem asa i damę karo. Przy damie arcymistrz Aleksander zasepił się, chwilę podumał i wyrzucił pika. A więc miał skład 4–5–2–2. Skoro zaś zwlekał z dokonaniem przebitki, miał zapewne króla pik. Zagrałem zatem jednego i drugiego dobrego trefla, a to wróg musiał już zabić atutem. I wówczas w akcie ostatecznej determinacji czy też rozpaczy z rozmachem grzmotnął królem pik o stół. Na to właśnie czekałem.

Natomiast co do drugiego arcymistrza (Wita), to muszę przyznać, że cały czas zachowywał się z wielką godnością, dokładał karty starannie i w równo odmierzonych odstępach czasowych. Może wciąż jeszcze rozpamiętywał moment z pierwszej i drugiej lewy, kiedy to bijąc asem trefla i odchodząc w ten sam kolor (a nie w pika) wypuścił kontrakt. Wysilek włożony w to rozdanie ostatecznie podkopał jednak moje siły fizyczne i psychiczne. Dlatego w drugim nie udało mi się już wspiąć na porównywalne wyżyny. Zaś przez następną rundę po prostu dogorywałem.

¹ Trzeci, ostatni szereg legionu, składający się z najbardziej doświadczonych żołnierzy, którzy wchodziłi do akcji, gdy losy bitwy wisały na włosku.

Kiedy zobaczyłem listę wypłat² z turnieju, zrozumiałem, że jednak go wygraliśmy. Co mnie zresztą nie dziwi, bo fakt ten w zupełności potwierdzał to, co już dotąd mniemałem o swoich (i Grzeška) umiejętnościach poruszania się na polu tej właśnie dyscypliny. Z drugiej jednak strony, to kto by tak naprawdę wierzył w pisane.

² Jest to lista nieszczęśników, którzy nie mogli od razu po turnieju pójść/pojechać do domu lecz musieli czekać co najmniej pół godziny na jego oficjalne zakończenie, czyli kasę.